



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 291



GENSKO-BOLESLAW

KOBOS TADEUSZ

Nr 6.

Warszawa, 5-go sierpnia
1920 r.



Po przeczytaniu oddaj drugiemu.

Zachęcaj swoich
krewnych, przyjaciół
i znajomych do wstępo-
wania w szeregi
ARMJI OCHOTNICZEJ!!

Po przeczytaniu oddaj drugiemu.



Do polskich ochotników.

Na froncie, w bohaterskim, bezprzykładnym boju,
krwawi się żołnierz polski.

...Dzień i noc z karabinem w garści, bez jadła
i odpoczynku...

Pot krwawy czoło mu zalewa...

Tchu w pierś zmęczoną złapać nie może...

I czuje, jak z dnia na dzień, z godziny na go-
dzinę mnożą się hordy najeźdźców, czuje zwiększa-
jący się napór groźnej nawałnicy.

Lecz nie ustępuje i nie ustąpi!

Matki swej, Ojczyzny broni!!!

Zaczerwienionymi od bezsenności i prochu oczy-
ma wpatruje się raz po raz w drogi, idące ku Polsce,
czy idzie mu stamtąd pomoc.

Czy wesprze go mur wypoczętych ramion bra-
terskich...

Czy płynie ku niemu fala otuchy i wiary w zwycięstwo...

Czy nie zostawiono go samego, strudzonego do ostatecznych granic, bez nadziei posiłków...

Cóż odpowiecie na to wy wszyscy, którzy dotąd biernie przyglądacie się śmiertelnym zapasom?

W chwili tak poważnej i decydującej...

Boć chwila jest rzeczywiście decydująca. Wróg w ostatecznym już wysiłku mierzy cios w samo serce, by zdławić naszą, krwawo zdobytą niepodległość.

O ile w tej chwili nie wydobędziemy z siebie wszystkiego męstwa i całej ofiarności, o ile poskapiemy Ojczyźnie ofiar z krwi i mienia—nasze marzenia o potędze mogą prysnąć, jak bańka mydlana, a kraj nasz stanie się łupem wroga.

Rozejrzyjmy się wokół siebie i spokojnie przełiczmy swe siły. Przekonamy się, że niema najmniejszego powodu do zwątpienia lub trwogi.

Mamy świetnych wodzów, najbitniejszego w całym świecie żołnierza, doskonałą organizację i zapas świeżych sił bojowych, dotąd nieużytych.

Tylko należy zaraz, natychmiast przystąpić do ich mobilizacji. Nie zwlekać ani chwili, bo każda chwila droga.

Ze wszystkich stron naszej ziemi napływają radosne wieści, że zaciąg do armji ochotniczej świetnie idzie, że wszyscy wstępują do wojska.

Niech słowo „wszyscy” nie będzie tylko czczą przechwałką, lub pięknie brzmiącym słówkiem.

Niech hasło: „wszyscy na front!” będzie—czynem!!

M. G.



WODZU!

Pamiętasz, Wodzu, czas, gdy bezmierne brzemię ucisku pokryło Polskę wzdłuż i wszerz?...

Potworne łapy rozdzierców ostrza-
mi pazurów pochwyciły życie naro-
du, pchając je w noc bez jutra.
Nikło, zamierało wolne potężne ży-
cie Polaka. Stał się on niewolni-
kiem. Jeszcze tylko rok, a zczeczłby
z ziemi dumny polski ród... został-
by tylko pokorny niewolnik.

Pamiętasz, Wodzu, jak trudno
było być Polakiem — mówić o Pol-
sce — nawet mówić po polsku! Pa-
miętasz o tych wielu, którzy ani
słuchać ani myśleć o Niej nie
chcieli!

Pamiętasz wreszcie dzień — w za-
raniu Twych młodych lat, gdy ogar-
nawszy okiem bezbrzeżną nędzę
polskiego życia, sobieś rzekł: tylu
nas jest, a tak mało nas! Siwe Twe
oczy widziały, że popielisko narodo-
wego życia jeszcze niezupełnie wy-
gasło, że gdzieś w podziemiach
tkwi jeszcze bunt, że są jeszcze ci,
co nie spodleli, co nie zamienili
ran, stygmatów kajdan — na ordery,
carskie ochłapy łask. Tyś widział,
że czarna, beznadziejna noc da się
jeszcze rozgorzeć żarem krwi, pły-
nącej z polskiego serca. Tylko trze-
ba kuć broń — podżegać walkę na
śmierć.

Zwarłeś się w sobie, natężyłeś
siły, nie mówiłeś nic — chyba siwe-

mi swemi oczami — lecz poszedłeś
na czyn.

Czyn?

Polaly się potoki krwi na bru-
kach Warszawy i Łodzi — wstrząsnął
Polską jęk umierającego robotnika.
Wzniesiono krwawy sztandar walki
o wolność. Wołano w głos, nawet
na szafotach: Wolna, niepodległa
Polska ludowa!

Tyś był przy tym.

Zachłysnął się własną krwią bo-
haterski czyn robotnika. Wstrząśnię-
ty carski tron ostał się. Polski uor-
derowany obywatel odetchnął...

A Ty, Wodzu?

Ściagnąłeś krzaczaste brwi —
ścisnąłeś pięść i znów kułeś broń.

Wojna. 6 sierpień czternastego
roku.

Z prastarych murów Krakowa
wyszedł młody Twój huf — z moty-
ką na słońce... Europa ujrzała pol-
skiego żołnierza...

Zmagał się młody żołnierz z
wrogiem — lała się krew. Wznio-
słeś znów wysoko sztandar polskie-
go bohaterstwa. Imię Polski weszło
na usta wielu.

A Ty, Wodzu?

Ty milczysz. Krwią swych uko-
chanych żołnierzy wypisujesz coraz
szerzej i silniej zatarte imię Polski.
Zapach młodej polskiej krwi budzi
szlachetniejsze płonki polskiej gleby.

Zwiększa się Twój huf. Ramiona
młode w Polsce prężą.

Warszawa zdobyta przez Niem-
ców...

Zachciałeś ujrzeć, Wodzu, serce
Polski...

W pochmurny wrześnieowy pora-
nek wjechałeś w mury stolicy...

Owionął Cię chłód gapiów. O-
ślizgłe, bezmyślne gały tłumy go-
niły za Tobą...

Tyś ich nie szukał—lecz ludzi—
Polaków, co zdolni zrozumieć Twój
Szał młodzieńczy, Twą niezłomną
wiarę w przyszłość — Twój czyn...

Tyś serca polskiego szukał...

Czułeś, że ono jest, — że gdzieś
po ubogich izdebkach się kołacze, —
że piersi młodzieńcze rozsadza...

Szedłeś doń...

Czyś doszedł?

Mur pruskich bagnatów zagro-
dził Ci drogę...

Nakazano Ci natychmiastowy
wyjazd...

Tobie, Wodzu, żołdak pruski po-
kazał drzwi...

Rozpoczęły się przetargi nad
skrwawionym ciałem Polski...

Najeżdźcy łupem się dzielą...

Do niecnej tej roboty wciągali
i nas, karmiąc stęsknioną duszę
Polaka wielkim słowem, niepodle-
głość przypieczetować chcieli dobro-
wolnie wylaną polską krwią—nowy
gwałt...

Tyś rzucił im w twarz: Oszuścił
zbójce!

W kazamaty Magdeburga zam-
knięto Cię, Wodzu, —Twoja myśl—
Twój czyn, miały tam zczecznać...

Czy zczeczły?

Runęły wszechwładne potęgi.
Prusko-austrijacka pięść zadrżała...
W dniu tym Twoja potężna idea
zakwitła...

Jak Polska długa i szeroka wy-
szła z domów zbrojna Twa młodź
i w jedną cudowną chwilę najeżdź-
ca zniknęła...

Polska się stała...

Stała się przez Twój czyn!..

„Odtąbiono”



Historja, jakich wiele.

Ciężkie chmury zawisły nad polską ziemią...

Zgromadziwszy siły ogromne, bolszewicy wtargnęli do Polski, szerząc mordy i pożogę.

— Nie damy się, nie damy!

— Nie pozwolimy dzikim horodom targać, ni trząść naszą ziemią!

— Do bron! Do bron!

Oto okrzyk, jaki rozbrzmiał po całym kraju, okrzyk dobyty z piersi starców i młodzieży, kobiet i dziewcząt, mieszczan i chłopów. Okrzyk wszystkich serc!!

Zawrzało, zakotłowało się wszędzie.

Jak kto mógł, wyciągał swe ręce do obrony i szedł zasilać kadry wojskowe, lub zaciągał się do służby pomocniczej.

Byle tylko ocalić zagrożoną Ojczyznę!

— Dziś jeszcze wstąpię do wojska, dziś jeszcze — mówił osiemnastoletni Józik, syn gospodarza ze wsi Sienieżyce.

Wracał właśnie z kolegą swym Antkiem z miasteczka, gdzie czytali odezwę Naczelnika nawołującą do służby wojskowej.

— Do Warszawy... do Hallera!

— Byle prędzej, byle tylko prędzej. Każdy dzień jest ważny — mówił gorączkowo Józik.

— A pokażemy my bolszewikom, pogroził pięścią Antoś.

Słońce już miało się ku zachodowi, kiedy chłopcy żwawo dochodzili do wsi.

Przechodzili właśnie koło chaty jednego z bogatszych gospodarzy — Tomasza.

— Dobry wieczór Tomaszu, zawołał Józik z daleka, wstępujemy do wojska!

— Do wojska?

— Tak! Wracamy właśnie z miasteczka. Wszędzie wiszą odezwy Naczelnika; a ludzi rojno, jak w ulu! Wszyscy wstępują...

— Każdy według swojej woli, odparł spokojnie Tomasz, wygodnie siedząc na ławce i pociągając papierosa.

— Tu nie ma swojej woli, rzekł rezolutnie Józik, jest tylko wola Ojczyzny, wola całego kraju, któremu zagraża nieprzyjaciół.

— Patrzcie go, jaki mądry — rzucił Tomasz; — niech inni idą bronić! Ja — nie poborowy...

— Ja też w wieku niepoborowym, a idę, — krzyknął Antek.

— Wszyscy idą, dorzucił Józik. Widziałem, jak do komendy przyszedł siwiutki starzec, prosząc by go wzięto!

— Ja tam — ani myślę, mówił Tomasz; w wojsku żadnym nie służyłem; z mego rocznika takich, którzy nie służyli przedtem, nie biorą. Żeby się miał sam po dobrej woli zapisywać! Ani myślę!

— Ej, wstydziłibyście się Tomaszu! Gdyby tak wszyscy mówili jak wy, cóżby się z naszą biedną Ojczyzną stało.

— Dajcie mi pokój, burknął gniewnie Tomasz. Mam ja swoje gospodarstwo, pracy w polu — huk, ani mi się śni wstępować do wojska. Niech idą ci, co mają czas i ochotę.

Pokiwał głową Józik, popatrzył smutnie na sąsiada, co takie słowa wygłaszał. Widząc, że tchórza nie przekona, machnął ręką i obaj z Antkiem szybko ruszyli do domu.

Nazajutrz rano, błogosławieni ręką rodziców, wyjeżdżali wózkiem do odległej o dwie mile Warszawy.

— A bijcie się dzielnie! brzmiały im w uszach matczyne słowa.

Ranek był świeży, powietrze czyste i chłodne, na niebie ani jednej chmurki.

— Zwycięzimy! zawołał Józik, a Antoś powtórzył za nim:

— Zwycięzimy!!

Minęło parę tygodni.

Zawierucha wojenna trwała ciągle. Cała Polska zamieniła się w obóz wojskowy: kto żyw — wstępował do wojska. Wszędzie uczono, ćwiczone ochotników i tworzone nowe pułki.

Wieś Sienieżyce, jak i inne wsie, ścichła i opustoszała, Antek, Józik i cała prawie młodzież biła się od dawna na froncie.

Tylko Tomasz, spokojnie zajęty gospodarstwem, nie troszczył się o sprawę ogólną.

— Chłop, taki młody jeszcze, — mówili starzy, — a nie w wojsku.

— Ej, wstyd doprawdy! Przecież w gospodarstwie siostra dałaby sobie jakoś radę, a sąsiedzi by pomogli!

Dziewczęta wyśmiewały się z niego, że — tchórz.

Ale Tomasz nie zwracał na nic uwagi.

— Żeby mnie to wzięli z poboru, — mawiał sam do siebie — no to bym musiał iść, ale tak, po dobrej woli karku nadstawiać... Niedoczekanie ich!

Lato było w całej pełni; owoce dojrzewały przepięknie i Tomasz woził je co tydzień do Warszawy.

Pewnego dnia, kiedy po skończonym targu w Mokotowie, miał wracać do domu, spotkał nagle Antosia.

Nie poznał go zrazu. W mundurze wojskowym Antoś jakoś zmęśniał i spoważniał, tylko dawna czupurność i zuchowatość wyglądała mu z oczu.

— Dzień dobry Tomasz, zagadnął go.

Zawstydził się Tomasz z początku, ale trudno było uniknąć spotkania.

Zaczęli rozmawiać; Antoś niedawno wrócił z frontu i opowiadał o ciężkiej bitwie, jaką stoczyli.

A gdzie Józik? — spytał Tomasz.

— Józik? — Antoś spuścił głowę. Leży w szpitalu, biedaczysko. Wczoraj go przywieźli: ciężko ranny!

— Ranny!

— Tak. Prosił mnie tylko, aby rodzicom o tem nie pisać, póki mu się nie polepszy. Biedny Józik! Bardzo ciężko ranny!

Markotno się zrobiło Tomaszowi.

— Owoców bym mu trochę zaniosł! — rzekł. Czy można go odwiedzić w szpitalu?

— Naturalnie, właśnie tam idę. Chodźmy razem!

Zostawił Tomasz konia i wóz w zajeździe, w niewielki worek resztę owoców wsypał i poszli do szpitala.

Po drodze dowiedział się, jak to Józik z Antkiem wojowali, jak Józik bił się za trzech i rany dwie otrzymał: w głowę i w nogę.

Do szpitala było niedaleko.

Na dziedzińcu panował ruch ogromny: coraz to zajeżdżały samochody, rozwożąc chorych i rannych.

— Tędy — rzekł Antoś.

Weszli do dużego, krytego czerwonym dachem, budynku.

Sala, w której leżał Józik, była niewielka, kilku tylko rannych leżało prócz niego.

Józik poznał ich zdaleka.

Tomasz zadrżał, zobaczywszy go; chłopak był tak zmieniony i zmierzowany: cała głowa w bandażach, oczy głęboko zapadnięte, wyraz bólu i cierpienia na ustach.

— Jacyście dobrzy Tomaszu, że pamiętaliście o mnie, rzekł, wyciągając ku niemu wychudłą rękę.

Coś tam pod nosem mruknął Tomasz; było mu nieswojo.

Widok chorego Józika, niedawno jeszcze zdrowego i rumianego, wi-

dok tyłu rannych naokoło — zrobił na nim dziwne wrażenie.

— To prawie wszystko ochotnicy, mówił cicho Józik, — tamten z 36-go pułku, a tamten ułan z 13-go pułku, a tamten z 205-go... Wszyscy tylko marzymy, żeby wyzdrowieć i znów — na front!

I oczy mu zabłyśły.

Tomasz ze zdziwieniem i ze smutkiem rozglądał się po sali.

— Tak, tak Tomaszu, szeptał dalej Józik, — dużo tu cierpienia naokoło. Ale cóż z tego. Przejdzie...

— Ach żebyście na froncie byli, żebyście tam widzieli... Są gorsze rany od naszych, boleśniejsze rany, jakie dostaje nasz kraj, cała nasza ziemia!

— Trzeba widzieć, jak bolszewicy rabują i niszczą domy, pola, jak obchodzą się z temi wszystkimi, którzy się w ich ręce dostają!

Taichrówność i sprawiedliwość — to fałsz!

Uśmiechnął się gorzko Józik!

— Tak, tak... Cierpienia i rany każdego z nas są drobnostką, wobec ran całego kraju, wobec zagrożonej Ojczyzny.

Bo pomyślcie tylko... Ta ziemia która przeszła na nas z dziada pradziada, ta ziemia wywalczona krwią tylu już polaków, ta ziemia, wreszcie wolna i niepodległa, miałyby znów się stać łupem, łupem najstraszniejszego wroga — bolszewika... Nigdy!

— Teraz, kiedy słyszę, że nasi zaczynają zwyciężać, to ledwo wy-

trzymać mogę... Och, żebym jaknajprędzej wyzdrowiał...

I oparł głowę o poduszkę.

A Tomasz?

...Słuchał, słuchał uważnie i jakas żalność chwyciła go za serce i jakiś wstyd owładnął duszą...

Patrzył na Józika z podziwem, patrzył jak na bohatera... Wstał weń nagle inny duch. Bez pożegnania wymknął się z sali i szybko poszedł do zajazdu.

Wracając do domu, patrzył na długie, szerokie pola i ze smutkiem jakowymś wspominał każde słowo Józkowe.

...Ojczyzna ranna... Nieprzyjacieli szargnął nią i nóż w jej serce ciśnie; tyle chat spalonych i pól zni-

szczonych... Sprawiedliwość i równość, które głoszą — to fałsz, to kłamstwo.

...Człowiekowi rannemu pomocy i wody nie poskąpisz, a rannej Ojczyźnie swojej wahasz się przyjść z pomocą...

Łza zakręciła się w oku Tomasza.

Od pól i lasów szło zdrowym, mocnym zapachem wczesnego letniego wieczoru, do snu się kładły szerokie, mazowieckie pola.

— Do licha, — zachnął się Tomasz, — przecież jestem Polakiem, a ta ziemia jest moją Ojczyzną!

I nazajutrz wstąpił do wojska.

St. B.



Przyjaciele.

Było w naszej kompanii dwóch przyjaciół: Józik Sikora i Franek Wróbel.

Powiedzieć o nich, że byli przyjaciółmi — to mało, za słabe określenie. Kochali się oni tak, że bracia rodzeni nie mogliby bardziej lgnąć do siebie.

Śmieli się czasem z nich kole-dzy, że: „Wróbel z Sikorą w takiej zgodzie“, ale oni na to nie zważali. Jeden za drugiego dałby się porąbać w kawały.

Obaj silni, zdrowi, chętnie wykonywali wszystkie swe, nieraz ciężkie, obowiązki żołnierskie.

Zaczęła się ta ich przyjaźń dziwnie, bo w kłótni...

A było to tak:

Staliśmy w „ogonku“ po obiad i klęliśmy zcicha kucharza, że tak wolno wydaje, gdy w tem któryś, z żartów pacnął Franka Wróbla w plecy. Oburzył się na to Józik i nawymyślał zaczepiającemu.

Ale Franek, jako że był dobry

kolega i o byle co się nie obrażał, powsiadł na Józka, że o byle kuksańca zaraz rwetes robi.

Od słowa do słowa — pokłócił się Franek z Józkiem, wśród ogólnego śmiechu, że „ślusarz zawinił, a kowala powiesili“.

Przez kilka dni boczyli się na siebie, lecz potem coraz częściej można ich było razem znaleźć, pogwarzających zcicha, a w końcu tak do się przyłgnęli, że gdzie Wróbel tam i Sikora.

Kompanja wyszła w pole, wraz z nią Franek i Józiek, już jako nierozłączni towarzysze i przyjaciele.

Koledzy, czasem, dla śmiechu, chcieli ich poróżnić — lecz na nic się to zdało!

Sitwa to była nierozzerwalna.

Wypadek, który chcę opisać, miał miejsce w krytycznej dla naszej kompanji chwili.

Po kilku dniach bezustannych utarczek z moskalami, znaleźliśmy się nocą we wsi, ze wszech stron otoczeni przeważającemi siłami bolszewików. Jedyne wolne przejście — przez staw, płytki coprawda, ale o dnie bagnistym — też było niepewne, gdyż wszelką straciliśmy łączność z resztą pułku, i nie wiadomo było, jak daleko możemy się od niej znajdować.

Moment był bardzo poważny i tylko niespodziewana pomoc i nadludzkie z naszej strony wysiłki mogły nas ocalić.

Dowódca kompanji, rozejrzawszy się w terenie, widzi, że jedyna droga — to staw.

Pyta więc, kto na ochotnika podejmuje się staw przejść i dostawszy się do jakichkolwiek naszych oddziałów, zawiadomić o położeniu kompanji.

Znalazło się kilku ochotników,

a między nimi oczywiście Franek Wróbel i Józiek Sikora.

Gdzie chodząło o niebezpieczne wyprawy „na ochotnika“ — tam oni zawsze byli pierwsi.

Tym razem porucznik wezwał wszystkich „ochotniczych“ zuchów do swej kwatery, i powiedział co następuje:

— Chłopczy! nie taję przed wami, że wyprawa przez staw grozi prawie pewną śmiercią, lecz jest to jedyna droga uratowania kompanji. Dlatego nie mogę pozwolić iść więcej jak jednemu; raz, dlatego, aby nie osłabiać kompanji, podrugie jeśli ma zginąć, to niech ginie jeden, nie więcej. Musicie więc losować pomiędzy sobą.

Zrobiono węzełki — los padł na Franka Wróbla.

Pobladł nieco Franek, ale nie stracił rezonu i zażądawszy tylko większej ilości ładunków do kieszeni — poszedł.

Staliśmy chwilę w milczeniu, słuchając szelestu kroków oddalającego się Franka.

Ciszę przerwał Łabędź, który nigdy nie tracąc humoru, i tym razem zauważył, że: „Wróbel to mógłby staw przefrunąć i basta!“ Ale Józiek Sikora tak na niego spojrzał, że umilkł natychmiast.

Rozeszliśmy się wnet na wyznaczone stanowiska i — czekamy.

Nie upłynęło pół godziny, gdy nagle usłyszeliśmy huk wystrzałów karabinowych i przeciągłe „hurra“ ze strony, gdzie wiedzieliśmy, że się znajdują bolszewicy.

Rozwijamy się błyskawicznie w prawidłową tyraljerę i, ruszamy w stronę, skąd dochodzą strzały.

Przed linią biegnie pędem Józiek Sikora, który na ochotnika podjął się zbadać przyczynę alarmu przed naszym przybyciem.

Przebyliśmy może pół kilometra, gdy jakiś cień zamajaczył przed nami. To Józiek, słaniając się podpierając karabinem, wraca z patrolu staje przed dowódcą i urywanym głosem melduje:

— Panie porucz... nikul.. Mel... duję, że... droga wolna!.. Bolsze... wiki uciekli!..

— Kto ich pobił, gdzie oddział, który się bił z niemi?!?!

— Panie poruczniku!.. To... Fra... nek ich... —

Tu urwał Józiek... Krew bluznęła mu ustami i padł martwy.

Ruszyliśmy naprzód. W pobliżu znaleźliśmy kilka karabinów, kilka ciał poległych — żywego bolszewika ni śladu.

Lecz z kim się bili? Kogo się zlekli? Przed kim uciekli — pytaliśmy się wzajem.

Zagadka wkrótce się wyjaśniła...

Pod krzakiem jałowca znaleźliśmy Franka Wróbla... Kurczowo ścisnął karabin w dłoniach, a ze świeżej, rany w głowie sączyła się krew...

Nie żył już!..

Franek widocznie, przeszedłszy staw, zaszedł na tyły oblegających nas moskali i celnymi strzałami wzniecił wśród nich popłoch.

Nie spodziewając się z tej strony wroga, myśleli że są otoczeni i — uciekli. Na to nadbiegł Józiek Sikora, lecz trafiony zbłąkaną kulą, zdołał tylko porozumieć się z Frankiem i dać znać do oddziału.

Oto cała historia...

Zabraliśmy ciała poległych bohaterów i ruszyliśmy w drogę.

Po kilku godzinach marszu złączyliśmy się z resztą pułku.

Pogrzeb dwóch druhów — bohaterów odbył się ze wszystkimi honorami wojskowymi. Wszyscy mieli łązy w oczach i nawet pułkownik, człek bardzo srogi, zawzięcie nos chustką ocierał, przyczem, niby nie chcący, różkiem chustki o oczy zawadzał.

K. W.



Główne biuro Polskiego Oddziału Y. M. C. A. — Al. Ujazdowskie. 22.

Sekretarz główny: Artur St. Taylor.

Kierownik oddziału gospodarczego: Burt. H. Winchester.

„ departamentu wychowawczego: Edmund Chambers.

„ „ teatralnego: Karol Knake-Karliński.

„ „ sportowego: F. B. Messing.

„ „ kinematograficznego: Erick Mayell

„ oddziału Warszawskiego: W. M. Berry.

Ogniska Y. M. C. A. znajdują się w następujących miejscowościach:

WARSZAWA: dla żołnierzy: „Eagle Hut“, Oboźna 3.

Kościuszkowski obóz saperów, Powązki.

dla Ochotniczej Legji Kobiecej: Agrikola.

dla oficerów: „Dom Oficera Polskiego“, Dolina Szwajcarska.

Kraków, Lwów, Brześć Litewski, Modlin, Karolin, Częstochowa, Chełm, Dąbrow (Sosnowiec i Będzin), Lublin, Dąbrowa, Łódź, Tarnopol i Stanisławów.

Adres redakcji i administracji: Teatr Żołnierski Y. M. C. A. (Eagle Hut) Oboźna 3.